

218

To teatr — koło magiczne...



Fot. B. J. Dorys

Jesienią 1935 roku wielki reżyser Teatru Polskiego Leon Schiller wystawił tragedię Szekspira „Król Lear”. Wśród wykonawców ról głównych znalazła się młodziutka debiutantka NINA ANDRYCZ. Wspominając tamte przeżycia, powie dzisiaj: — Jakby mnie wrzucono na głęboką wodę. Wypłynę? Nie wypłynę?...

— Co dla Pani jest najważniejsze w życiu?

— Praca. Praca twórcza. „Pracuję, więc jestem” — oto dewiza.

— Byłam przekonana, że usłyszę po prostu: teatr... W jednym ze swoich wierszy pisze Pani: „on stanie się ciałem dla ciebie”, w innym: „Jego tyrańska mość Teatr nienawidził rywali”. Ale w istocie aktorstwo dramatyczne to ciężka praca. Nigdy Pani nie żalowała swego wyboru?

— Nie. Nie żałuję nigdy. Myślę, że aktorstwo było moim powołaniem. Najbardziej mi dostępną i najszybszą możliwością porozumiewania się ze światem, który mnie otacza. Książkę nosi się w sobie kilka lat, a rolę — dwa, trzy miesiące w czasie prób, potem ona już żyje dla ludzi. Dzięki tej czy innej roli mogę ze sceny głośno wypowiedzieć, wykrzyknąć, wyplakać to, co inni ludzie, być może, niejasno czują. Wiem, że ich rozterki, miłości i niepokoje — jak w lustrze — odbijają się w dziełach wielkich poetów, dramaturgów, służąc którym było zawsze moją ambicją artystyczną. Ileż kontaktów z ludźmi niezaplanowanych, a ciekawych, ba, losowych udało się nawiązać wyłącznie poprzez rolę.

— Na przykład?

— Ktoś zobaczył mnie jako Solange w „Lecie w Nohant” Iwaszkiewicza i powiedział sobie: „Muszę tę dziewczynę poznać”. A gdy wreszcie poznał — wkrótce oświadczył się... Ktoś inny po premierze „Don Carlosa” tak długo pisał do mnie listy, rozumne i niebanalne, aż wywiązała się z tego całkiem ładna ludzka przyjaźń. Wspominam o tym nie żeby się pochwalić. Chcę tylko wyjaśnić, dlaczego nie żałuję, iż wśród innych możliwości życia wybrałam właśnie aktorstwo.

— Mijały lata, działo się tak wiele. To uwielbienie dla teatru pozostało niezmiennie?

— Oczywiście, w drugiej połowie życia, kiedy bezrozumny entuzjazm młodości pod wpływem przeżyć wojennych nieco przyszedł — musiałam pojąć i odczuć cienie mego zawodu. Jego kruchość, ulotność, wielorakie uzależnienia, nerwowość, niepewność... A jednak — nie żałuję. Aktorstwo obdarowało mnie życiem zwielokrotnionym. Dało mi tyle radości i smutków (one zawsze w parze chodzą!), tyle nadziei, niepokoju i tyle dowodów ludzkiej sympatii dla tych marzeń, że byłabym czarną niewdzięcznicą, gdybym czegokol-

wiek dziś żalowała. A więc w ślad za nieżyjącą już, lecz dla mnie niezapomnianą Edith Piaf, chciałabym zamknąć pytanie pani refrenem jej mądrej piosenki: „Je ne regrette rien!”

— Poświęciła Pani „gorzkiemu słowikowi Paryża” piękny wiersz.

— A może chce pani usłyszeć zabawna historię, jaka mi się wydarzyła kiedyś na koncercie Piaf? Oto siedzę w Nicei, podczas straszliwego upału, w przepelnionej sali. Edith na estradzie jest maleńka, krucha i wyraźnie już chora, ale śpiewa o miłości jak nawiedzona, jak anioł... W pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że ja płaczę... nie mam chustki. Co robić? Nagle, siedzący obok starszy pan, Francuz, wyciąga do mnie rękę z kraciatą chustką i szepce uspokajająco: „Niechże pani się nie martwi — ona jest zawsze taka”. Otóż ona, o ile mi wiadomo, także niczego nie żalowała. Zresztą, trzeba ponosić konsekwencje każdego wyboru.

— Wróćmy do zasadniczego wątku rozmowy. „Wirtuozeria wymaga wielkich ofiar” — to Pani słowa. Z czego Pani zrezygnowała?

— Przez długie lata młodości i dojrzałości teatr był dla mnie monopasją. To zdążył taką namiętnością, która wszystkie inne sprawy czy pasje odsuwała na drugi plan. Trzeci plan. To się zaczęło bardzo wcześnie, bo już w szkole dramatycznej. Oczywiście, i wtedy pisałam wiersze, ale tylko dla siebie; do szuflady. Nie odczuwałam potrzeby publikacji tej swojej jakby mimowolnej twórczości — ponieważ twórczość numer jeden angażowała całkowicie wolę i zmysły. Nie koniec na tym. Moja matka była człowiekiem wielkich ambicji i w tamtych czasach nie bardzo chciała, abym poświęciła studia w Uniwersytecie Warszawskim dla szkoły dramatycznej.

— Łączenie nauki w dwóch różnych uczelniach wymagało wielkiego wysiłku?

— Rzecz w tym, że psychologia i filozofia głęboko mnie interesowały. W rezultacie tak długo, jak to było możliwe — to jest do ataku szaleńczego dyrektora Zelwerowicza i mojej ostrej anemii — chodziłam z rana na zajęcia uniwersyteckie, wieczorem — do szkoły. Uczylałam się nieprzeciętnie, przynosiłam piękne „cenzurki” — piątkę od prof. Władysława Witwickiego, piątkę od prof. Władysława Tatarkiewicza...

— A jednak?

— A jednak poświęciłam te studia dla teatru. Pocieszałam się, że przydadzą się one później w aktorstwie.

— Co to w praktyce dla kobiety znaczy: być aktorką?

— Byłam świadoma tego, że model ówczesnego małżeństwa, no i macierzyństwa, jak najbardziej koliduje z teatrem. Trzeba było wtedy, u początków kariery artystycznej, uczciwie wybierać. Więc wybrałam teatr. Co nie oznacza, ma się rozumieć, że nikogo nie kochałam. Przeciwnie. Ale ten, którego kochałam, nie marzył o ojcostwie...

— Przed kilku laty występowała Pani w Starej Prochowni w monodramie Helmuta Kajzara „Gwiazda”. Wypowiadała Pani wówczas słowa...

— Oto one: „Ale kiedy naprawdę jest się gwiazdą, to nie rodzi się dzieci — rodzi się role”. Dodajmy, że teraz już nie tylko role. Ale oprócz rzeczy serio, zrezygnowałam jeszcze z pewnych przyjemności wypełniających tak zwane życie towarzyskie. Na przykład nie tańczę, nie gram w brydża, rzadko bywam w kawiarni. Natomiast sporo czytam, lubię jeździć po świecie, jestem ciekawa życia i wierzę w miłość.

— Grała Pani rolę kobiet dobrych i złych, tragicznych, namiętnych, władczych, ambitnych... Wspaniałe postacie ze światowego repertuaru dramatycznego, które w Pani interpretacji zapisały się głęboko w pamięci widzów. Która z nich jest Pani najbliższa?

— Nie mam jednej roli najbliższej czy najukochańszej. Gdybym spróbowała podzielić mój aktorski dorobek na poszczególne działy czy grupy, to chyba w każdej z nich znalazłabym swoją ulubienicę. Wśród ról najpierwszych, dziewczęcych jest to, a raczej była niewątpliwie Solange. O niej Jarosław Iwaszkiewicz napisał „wzór niedościgły”, więc już komentarze są niepotrzebne. W emplot heroiny dramatycznej z lat młodości wiele serca włożyłam w Szimene z „Cyda” Corneille’a — Wyspiańskiego. Grałam ją nie tylko w Warszawie, ale i w Moskwie, i w Kijowie, przywoząc stamtąd świetne recenzje. W grupie tzw. świętych kurtyzan na pierwszym miejscu postawiłabym lady Milford z „Intrygi i miłości” Schillera. O niej goszczący u nas Niemcy powiedzieli, że jest lepsza od wykonawczyni z Burgtheater. Grałam ją

w sumie aż 320 razy! Ale nie sposób pominąć milczeniem innej „świętej kokoty”. — Małgorzaty, czyli Damy Kameliowej z telewizyjnego spektaklu Adama Hanuszkiewicza. Tym bardziej, że właśnie role w Teatrze TV pomogły mi wejść do każdego niemal domu w Polsce. Z empla dam brylujących w salonach publiczności najbardziej spodobała sobie Izabellę Łęcką z „Lalki” według Prusa, graną też około 300 razy. Ale ja nie byłam do niej specjalnie przywiązana. Wołałam Natalię z „Miesiąca na wsi” Turgeniewa, która miała w Teatrze Polskim mniejsze powodzenie niż później w Teatrze TV, i jeszcze drugą Natalię — La belle Nathalie, żonę Puszkina, za którą dostałam swoją pierwszą nagrodę. W ukochanej tematyce heroiczo-romantycznej rolę przełomową była oczywiście „Święta Joanna”, która mnie na dwa lata wywołała od saloonowych łwic.

— A Pani role królewskie?

— Chyba najbardziej kochałam szaloną Marię „ze Stuartów rodu”. Wielokrotnie jeździłam z nią na występy gościnne. Oczywiście, z pełnym zaangażowaniem uczuciowym — podzielałam również wszystkie rozterki królowej Egiptu Kleopatry, królowej Hiszpanii Elżbiety Valois, żony Filipa II, wrzeszcie Elżbiety I, Wielką zwaną, królowej Anglii. Osobne miejsce zajmowała królowa-uzurpatorka, lady Makbet z galerii moich tragicznych „czarnych charakterów”, przy czym zazwyczaj świadomie lub nawet podświadomie usilowałam je nieco wybielać, znaleźć jakies okoliczności łagodzące. Bowiem potępić ludzi jest łatwo, zrozumieć — trudniej.

— Nie wspomniała Pani jeszcze swoich ról komediowych.

— Najbardziej lubiłam nieco zwariowaną hrabinę de Belflor z „Psa ogrodnika” Lope de Vegi. Grałam ją trzy lata z rzędu na dużej scenie Teatru Polskiego. Natomiast z mojego najnowszego empla, to znaczy z ról charakterystycznych, największym powodzeniem cieszyła się nieokleczana koltunka, pani Dulsk (koleжды mówili „Dulska-sexy”). Jeździłam z nią na występy gościnne. No i Kitty z „Profesji pani Warren” Shawa.

— Ten bardzo skrócony przegląd nie ukazuje oczywiście mnóstwa problemów, emocji, walk i zwycięstw, związanych z kreowaniem takich, bądź co bądź niezwykłych postaci. Ale, mimo że tak pobiczny, opis ten uzasadnia ową legendę, która Panią otacza. Czy ma ona ja kies konsekwencje na co dzień?

— Tak. Na przykład, po niedawnej audycji telewizyjnej, kiedy mimochodem skarżyłam się na zimno w mieszkaniu, Urząd Miasta Stołecznego przysłał fachowców, którzy temu zaradzili. A mówiąc serio, ta legenda teatralna czasem jest bardzo przyjemna, a czasem wręcz irytująca. Na przykład ob Rydzard Frelek, pisząc jakis scenariusz dla TV, wkłada mi tam w usta wypowiedzi kierowane do mego przyszłego meża, ówczesnego premiera PRL Józefa Cyrankiewicza, których nigdy w życiu nie powiedziałam. Powiadamiam więc czytelników „Kierunków” i w ogóle wszystkich miłośników teatru, że z wyżej wspomnianym scenariuszem nie mam i mieć nie chcę nic wspólnego. Ale — swoją drogą — skóra na mnie cierpnie, kiedy sobie pomyśle, jak jakaś młoda aktorka zacznie „mnie grać”, zwłaszcza gdy będzie uwodzić eks-premiera.

— Będąc jednak żoną premiera, jak Pani — gwiazdą Teatru Polskiego, zapracowana, występująca w znakomitym repertuarze, o czym przed chwilą mówiliśmy — godziła te tak różne obowiązki?

— Sprawa skomplikowana, ale już przebrzmiała. Po prostu na pierwszym miejscu stawiałam obowiązki wynikające z pracy, jakiej się podjęłam przecież nie na parę lat, ale na całe życie. A na drugim — obowiązki żony dygnitarza. Ars est longa, a dygnitarzem się jest lub nie.

— Wspominała Pani o pisaniu „do szuflady”. Tymczasem właśnie uka-

zał się drugi już (a pewno nie ostatni) tomik Pani wierszy. Czy to znaczy, że jednak „tyrańska mość Teatr” ustąpił miejsca poezji?

— Jego tyrańska mość Teatr, jak zwykle, nie kocha żadnych rywali. Ale z biegiem lat, kiedy moje szuflady pękaly od zebranych materiałów, musiał dopuścić do głosu inną Muzę. Zdobył się na pobłażliwy uśmiech i rzekł: „Jednak beze mnie się nie obejdziesz. Zanim twoje wiersze zacznę recytować inni — ty je będziesz recytowała”. I rzeczywiście. Podczas pewnej Jesieni Poetyckiej, podczas pewnej Starej Prochowni, młody uczestnik tej imprezy powiedział do mnie z przekąsem: „Pani to dobrze, bo pani umie swój wiersz wygłosić — i zaraz brawa. A ja się, cholera, jękam!”. „Prześń się jękać” — poradziłam.

— „Dawany — odbierany, nad śmiercią pochylony. O, jakiż to krzyż pański mieć talent w Polsce!” — to kolejny cytat z Pani poezji. Tyle w nim gorzocy. Dlaczego?

— Nie. To nie jest gorzocy. To tylko stwierdzenie faktu. Artystom w Polsce nigdy nie żyło się łatwo. Oczywiście, myśląc i ambitnym, ot, takim jak Schiller czy Jaracz. Przed wojną ich udręka był chroniczny brak pieniędzy. Teraz wprawdzie mamy dotacje, ale nasi opiekunowie są często niekompetentni lub arbitralni. Ponadto ci spośród nas, którzy chcieliby, jak to się mówi, zdobyć świat — muszą, niestety, zdobywać go za pomocą obcej mowy, po angielsku czy po francusku. Choć trzeba przyznać, że nawet Greta Garbo nie grała po szwedzku ani Marlena — po niemiecku. Otóż ja nie czuję angielskiego. Stąd wynika, że do końca aktorskich dni pozostanę wierna teatrowi polskiemu i „szelstnej mowie”.

— Nad czym Pani pracuje obecnie? Myślę o teatrze, nie poezji.

— Jestem w trakcie prób interesującej sztuki Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Baba-Dziwo”. Wiadnie to „Dziwo”, kobietę-dyktatora mam przedstawić widzom w styczniu przyszłego roku. Dyrektor Dejmek zasugerował, żeby wykreślić z tekstu słowa „Byłam tak bardzo... brzydka!”. Słusznie. Bo kobiety brzydkie a mądre — mogą być szczęśliwe, zaś ja gram istotę nie-szczęśliwą. Ona sama mówi o sobie: „Władca przestaje widzieć dusze, on widzi pionki”. To straszne.

— Jesienią minęło 50 lat Pani pracy artystycznej. I — co jest ewenementem — pracy na scenie jednego teatru, Teatru Polskiego. Dlaczego choćby w tej swojej najnowszej roli nie chce Pani obchodzić jubileuszu?

— Och, dla wielu przyczyn. Po pierwsze uważam, że naszej trudnej epoki nie do twarzy z pompą aktorskich jubileuszy. Po drugie, nie odczuwam potrzeby zrobienia z siebie „uczciwej lubiłki”, biernie wysłuchującej nudnych przemówień. Wrzeszcie — nie jestem pewna, jakby wypadły role poszczególnych mecenasów...

— Co Pani ma na myśli?

— Na 50-lecie pracy dostałam, jak dotąd, list z gratulacjami i kwiatki od gen. Dębickiego. To ładne, bo jest on prezydentem Warszawy. Ale ja nie podlegam generalowi, tylko w prostej linii Ministerstwu Kultury i Sztuki. Otóż ój panowie tego nie zauważyli... W tej sytuacji wolę grać, a nie obchodzić jubileusz. Wprawdzie „Złote Gody” z Teatrem Polskim to brzmi dumnie, ale ja mam już od dawna dosyć uroczystych akademii ku czci.

— Nie mówmy zatem o jubileuszu. Mówmy o życiu — aktywnym, dającym satysfakcję. Czy osiąga się to dzięki oddaniu teatrowi? Poezji? Miłości?

— Jeśli dobrze zrozumiałam, chce pani wiedzieć, jaki model życia propaguje? Zadnego. Każdy musi od nowa odkrywać świat, zdobywać doświadczenia, później przemyśleć je, aby w końcu znaleźć własny sposób, na życie. Albo i nie znaleźć... Bo przecież każdy realizuje siebie na

miarę swoich możliwości, natury, temperamentu, ale także i genów, i okoliczności życiowych w danej koniunkturze historycznej.

— Mimo lekkiego smutku, który czasem czuje się w Pani słowach, jest Pani chyba człowiekiem szczęśliwym. Dzięki czemu? Czy ma Pani jakiś sposób na owó szczęśliwe prze-trwanie w zawodzie i w życiu?

— Mam. Zabrzmiał to — jak slogan, ale daję słowo honoru, że sloganem nie jest. Otóż moja broń sekretna, aby trwał — to praca, praca i jeszcze raz praca. Wspomniałam już o tym na początku tej rozmowy. Teraz chciałabym jednak rozwinąć temat, i to właśnie na użytek kobiet. Bo kobietę młodą już na początku życia jedynie dobra praca ustawia jako partnerkę mężczyzny, a nie tylko jako bezpłatną pomocnicę domową, której podczas pierwszej lepszej kłótni można powiedzieć: „Milcz, boś głupia!”. Kobiecie dojrzałej praca daje jakies stanowisko, no i jakies własne pieniądze, bardzo potrzebne i zakochanej, i... niekochanej. Dla kobiety zaś starzejacej się praca bywa deską ratunku. Trzyma ją przy życiu, chroni przed frustracją, samotnością i lękiem — plagami współczesnej cywilizacji. Partner życiowy, choćby i najbardziej udany, może z czasem zdradzić, odejść, a praca trwa. Wdzięk młodości, swoboda, liczni wielbiciele — przemijają, a praca trwa. Jeśli w dodatku jest to praca twórcza, to może nas fizycznie czasem zmęczyć, ale nigdy nie znudzi, nie otepi psychicznie. Przeciwnie. Praca zaostrza apetyt na życie, dopinguje do nowych podróży, nowych lektur, rozwija wrażliwość na muzykę, na aurę drugiego człowieka. Mistrz francuski, Paweł Se-dir pisze: „Wartość duchowej istoty mierzy się jakością jej pracy”. Podzielałam to zdanie bez zastrzeżeń.

— Powróćmy do spraw sztuki. Pracowała Pani z wieloma reżyserami. Poglądy na ich rolę i zadania w tworzeniu spektaklu bywały różne. A jakie jest Pani zdanie?

— O, to temat naprawdę ciekawy, ale i niebezpieczny. Tak łatwo narazić się ludziom z branży... Otóż wydaje mi się — z perspektywy lat na to patrząc — że kiedy reżyser nie może twórczo myśleć, miewa zazwyczaj mnóstwo tzw. pomysłów. Dotyczy one raczej zagadnień technicznych, formy widowiska. Jest to, na przykład, nadmiar sytuacji i ruchów, zagadkowe zmiany światła i ciemności, oraz pseudooryginalne ciecica w tekście nieżyjącego autora, który już nie może się bronić. Ma-newry te bynajmniej nie pomagają widzowi zrozumieć sensu grananej sztuki, idei, dla której została napisana. To wydziwianie szczególnie irytuje w utworach kameralnych, napisanych czasem piękną polszczyzną. Wtedy słowo powinno być najważniejsze w ustach dobrych aktorów, a nie bicie zegara na wieży lub „długie” zadanie zmierzchu, połączone z wyciem wpatru za oknami. Bardzo szanuję reżyserów mądrych i wrażliwych na istotne wartości. Wiem z doświadczenia, jak mogą pomóc mi w dochodzeniu do roli i nigdy, ale to nigdy z nimi się nie kłóć. Nawet, przy zawsze możliwej w takiej pracy, różnicy zdań. Niestety, również z długotrwałej obserwacji wiem, że prawdziwy talent reżyserki jest chyba jeszcze rzadszy niż talent aktorski. Wielkiej łuki po Osterwie i Wegierce, zwłaszcza jeśli chodzi o pracę z aktorem, dotąd nikt nie wypełnił. Oni czuli, jak trawa rośnie. Aktorzy ufali im bezgranicznie. A publiczność rozumiała grane spektakle i zachwycała się szczerze. Ich teatr to był uniwersytet wru-szeń.

— I chyba tym Pani stwierdzeniem zakończymy rozmowę. Pozwoli Pani, że poza zwyczajowym „dziękuję”, złożę życzenia kolejnych pięknych ról, ciekawych podróży, dalszych tomików wierszy.

KRYSTYNA GERBER

Cytowane fragmenty wierszy pochodzą z tomiku „To teatr” (Nina Andrycz, wyd. „Czytelnik” 1983) oraz „Drugie spotkanie z diabłem” (Nina Andrycz, wyd. „Czytelnik” 1985).